

Rozmowa z Wioletą Firkowicz

## Nuty i kroki, teks

Kierująca zespołem tanecznym „Dostlar” opowiada o czterech pokoleniach rodziny, ich tradycjach artystycznych oraz uczestnictwie we współczesnym życiu kulturalnym Karaimów.

**Hanna Pilecka:** Nie mogę powstrzymać uśmiechu, wspominając nasz zeszłoroczny wspólny weekend w Gdańsku. Na sobotę zaplanowaliśmy maraton w Filharmonii Bałtyckiej złożony z dwóch koncertów – wieczornego i nocnego, ale na kilka dni przed waszym przyjazdem Twój mąż Marek zasugerował, że w niedzielę też chętnie poszłabyś posłuchać czegoś dobrego... Skąd w twoim życiu tyle muzyki?

**Wioleta Firkowicz:** Cóż, ja jestem przede wszystkim biernym odbiorcą muzyki. Moja rodzina od strony mamy jest rzeczywiście bardzo muzyczna. Oni wszyscy śpiewali, włącznie z mamą. I moja krymska babcia, Aleksandra Alтын, i jej siostra Raja, i brat Sienia, i kuzynka Anna Bałdzy, z której nagrań także teraz korzystamy. Cała ta muzyka towarzyszyła mi od urodzenia – piosenki śpiewane na Krymie, czyli karaimskie, ale nie tylko. Oni na rodzinnych spotkaniach zbierali się i kiedy już troszkę zakaśli, coś wypili i odśpiewali zycze-

nia, na przykład urodzinowe, rozpoczynali koncert. Wujek, czyli mąż siostry mojej babci, grał na niewielkim bębnie zwanym *dare*. *Dare* to ważny instrument w muzyce krymsko-tatarskiej, a także karaimskiej. O ile dobrze pamiętam, wujek w młodości grywał nawet na weselach. Krótko mówiąc, robił to wyśmienicie i te rytmy karaimskiej piosenki brzmiały przez całe moje dzieciństwo.

**HP:** Jak nazywał się wujek?

**WF:** Josif Tieriaki. My nazywaliśmy go Dziadzia Josia. Z ciotką Raisą wychowali troje dzieci. Syn Łarik już nie żyje, ale żyją dwie jego siostry. Na tych spotkaniach, kiedy kończyły się już piosenki, one grały na pianinie, szczególnie Masza, czyli Maria, która zresztą przez jakiś czas mieszkała w Wilnie. Ale śpiewanie trwało długo, bo po karaimskich piosenkach zaczynały się rosyjskie, po rosyjskich ukraińskie, a repertuar był bardzo zróżnicowany, obejmował też piosenki filmowe. I to wszystko było wykonywane tak, że chociaż wielokrotnie słyszeliśmy to samo, to nigdy nie mieliśmy dosyć, zawsze prosiliśmy o bisy. Oczywiście te krymsko-karaimskie brzmienia były niepowtarzalne. To, co mamy w nagraniach, co wykorzystujemy do tańców „Dostlar”, to już jest opracowanie elektroniczne tamtych źródeł. Moi krewni nut nie znali, opierali się na ustnej tradycji przekazywanej z pokolenia na pokolenie.

**HP:** Wyłącznie ze słuchu?

**WF:** Ze słuchu, oczywiście. I godną następczynią swoich cioc oraz swojej matki, Aleksandry Mangubi, stała się moja mama, Ludmiła Juchniewicz. W młodości śpiewała bardzo ładnie, a i teraz jeszcze, będąc już po dziewięćdziestce, podśpiewuje w domu, w kuchni. I ona przekazała te umiejętności swoim wnuczkom, Wiktorii i Bijanie, córkom mojego brata, Artura Juchniewicza. Bo w tamtą stronę talenty po-

Wioleta z mężem, Markiem Firkowiczem.



Fot. archiwum W. Firkowicz

# ty i gesty

szły, na mojego brata i jego dzieci. A ja pozostałam biernym odbiorcą muzyki, lecz ogromnie lubiącą to, co mnie otaczało. Z czasem, już w Warszawie, kiedy nasze córki podrosły, trzeba było nauczyć je grać na pianinie, bo ja przecież też w dzieciństwie miałam instrument, poznałam nutki, coś tam grałam. I nasze dzieci też grały. Ale u mnie nigdy to nie rozwinęło się w silną pasję. Natomiast wydaje mi się, że potrafię odróżnić dobrą muzykę od słabej, i dobrze się z tym czuję.

**HP:** Marek z rozczuleniem wspomina moment, kiedy kupiliście pianino i ty nie mogłaś się oderwać od klawiszy. Czy wcześniej, w swoim trockim życiu, zdobyłaś muzyczne wykształcenie?

**WF:** No tak, kiedy byłam pięcio- czy sześciolletnią dziewczynką, mama zaprowadziła mnie do Domu Kultury, gdzie były klasy pianina, i tam stawiałam pierwsze kroki, tam mnie uczono przez kilka lat. Potrafiłam odtworzyć zapis nutowy nawet dość skomplikowanych utworów, chwalili mnie za dobrą technikę, ale nigdy nie umiałam zagrać melodii ze słuchu, po prostu tego słuchu nie miałam. Można powiedzieć, że odebrałam podstawowe wykształcenie muzyczne. Bez żadnych dyplomów, ale o to jestem bogatsza. Przydało mi się, kiedy starsza córka, Emilka, zapragnęła mieć w domu pianino. Bardzo lubiła się uczyć, i mogłam jej w tym pomóc. Później i Ninka, i Szymek, cała trójka przez to przeszła. Nie oddawałam ich do żadnych szkół muzycznych, nauczycielka przychodziła do domu. Myślę, że udało się, jak w przypadku jazdy na nartach czy na rowerze, opanować podstawowe umiejętności, aby horyzonty były szersze. Nie znaleźliśmy u siebie wielkich talentów, lecz nie o to chodziło.

**HP:** A skoro mowa o talentach, jaki repertuar upodobał sobie Twój brat, Artur?

**WF:** Zaczęło się od piosenek biesiadnych z towarzyszeniem gitary, typowo młodzieżowych. Szybko stały się piosenkami całej naszej „kompanii”, dalej ich słuchamy podczas spotkań, ale Artur się stale rozwija, dołącza jakieś nowe. W dzieciństwie przez krótki czas i bez specjalnego przekonania uczył się grać na pianinie



Fot. archiwum W. Firkowicz

i akordeonie, a grę na gitarze opanował sam jako młody człowiek. I on potrafi podejść do pianina i zagrać ze słuchu melodię, którą gdzieś usłyszał. Ten słuch odziedziczyły po nim jego córki, których śpiew wszyscy podziwiamy.

**HP:** Jednak to nie jest tak, że Twoja gałąź rodziny jest pozbawiona możliwości artystycznej ekspresji. Po prostu wybraliście inne niż wokół media: pianino, taniec. To też zainicjowała Twoja mama, której współczesne życie kulturalne Karaimów zawdzięcza ogromnie dużo. Jej nazwisko słyszę w wypowiedzi Michała Kuliczenki przed solowym koncertem, widzę w broszurce towarzyszącej płycie „Karaimska mapa muzyczna”. Ale tuż obok widnieje nazwisko Twojego taty, Szymona Juchniewicza jako autora słów „Tuwmuusz Trochka”. Do dziś czuję tamten zachwyt towarzyszący prawykonaniu tej piosenki... Opowiedz nam, proszę, nieco o twórczości taty.

**WF:** Kiedy szykowano się do świętowania 600-lecia obecności Karaimów na Litwie, tata napisał sztukę o przybyciu naszych przodków do Trok. Sztukę wystawiono z ogromnym sukcesem, co było zasługą wielu ludzi. Wszyscy chcieli uczcić tę rocznicę coś tworząc. Pamiętam to uniesienie, z jakim w przygotowania do przedstawienia angażowali się i reżyser, i aktorzy. Trzeba było zdobywać kostiumy, biegać na próby po pracy. W pewnym momencie moi rodzice wpadli na pomysł, by spektakl urozmaicić muzyką. Tak powstały piosenki, śpiewane do dziś i bardzo miłe dla ucha. Tata sięgnął po wiersz Szymona Firkowicza „Kara Teñiż”

Muzyczna rodzina Szpakowskich-Teriaki-Mangubi w Eupatorii.



# Portret współczesny

Karaimi w Polsce



Fot. archiwum W. Firkowicz

Emilia i Nina Firkowicz w swoich pierwszych karaimskich strojach uszytych przez Zofię i Mariolę Abkowicz

(Morze Czarne) oraz napisał słowa „Tuwmusz Trochka” (Do rodzinnych Trok), zaś mama dobrała do tych tekstów krymskie melodie. Obie piosenki zaśpiewała na scenie wspólnie z wnuczkami, Bijaną i Wiktoria.

**HP:** To uniesienie udzieliło się i nam, widzom. Dziewczynki były wtedy jeszcze małe, prawda?  
**WF:** Małe, ale już śpiewające! Tata już nigdy potem nie pisał utworów poetyckich. To natchnienie było chyba związane z tamtą chwilą. Za to posiadamy sporo jego tekstów innego rodzaju, w wersji elektronicznej, na przykład serię listów pisanych do wnuków w czasach, kiedy moje dzieci były jeszcze chyba uczniami. Wtedy zagraniczne rozmowy telefoniczne wcale nie były tanie, nie wyobrażaliśmy sobie nawet, że kiedyś będą darmowe, a listy elektroniczne już były dostępne i dzieci zawsze bardzo na nie czekały. I tata pisał z Trok do Warszawy te listy po karaimsku, tłumacząc je też na polski. Może miał nadzieję, że dzięki temu podszkole znajomość rodzimego języka. Trudno teraz powiedzieć, czy to się udało, ale na pewno się z karaimskim osłuchały.

**HP:** I o czym do nich pisał?

**WF:** O drobnych sprawach, że poszli do lasu, jakiego koloru kwiaty zobaczyli, skąd wiał wiatr. Złożyliśmy te „Listy do wnuków” w jedną całość. Sądzę, że może ona być interesująca dla tych, którzy chcieliby przeczytać, bo już nie usłyszeć, ten język prawdziwy, niewyuczony.

Tata pisząc posługiwał się takim samym żywym językiem, jakim troczanie rozmawiali ze sobą. Jakieś bajki tłumaczył na karaimski, jakieś inne listy, swoje różne przemyślenia, które zaczął spisywać w momencie, gdy w jego życiu pojawił się komputer. I my mamy ten zbiór jego notatek, z autorskimi tłumaczeniami na rosyjski lub polski. Być może kiedyś doczekają się wydania, na przykład w postaci broszurki, chociaż naturalnie wymagałoby to sporo pracy. Materiał ten jest cenny nie tyle ze względów literackich, bo literatem tata nigdy nie był, ile ze względów lingwistycznych, stanowi przecież zapis wyrażań używanych na co dzień, w domu, na podwórku, w ogrodzie.

**HP:** A do tego jeszcze praca nad słownikiem...

**WF:** Jest *Słownik karaimsko-rosyjsko-polski*, można było przetłumaczyć słowa karaimskie na rosyjski czy polski. Ale kiedy chcieliśmy dowiedzieć się, jak jakieś polskie słówko brzmi po karaimsku, pojawiał się problem. Ten brak zauważył mój tata, ale nie stworzył od zera słownika, a po prostu odwrócił ten już istniejący. Praca nad tym zajęła mu kilka lat, ale szczerze powiem, że my od czasu do czasu z jego słownika korzystamy, zwłaszcza teraz, kiedy mój mąż, Marek i córka, Emilka uczęszczają na lekcje prowadzone przez Dianę Ławrynowicz, zdarza im się szukać objaśnień w słowniku mojego taty. Cieszę się z tej ciągłości, bo dla taty karaimskość zawsze była bardzo ważna.



Ludmiła Juchniewicz z wnuczkami podczas przedstawienia „Życie w drodze, życie w Trokach”.

Fot. archiwum W. Firkowicz

Uwielbiał, jak mama śpiewała w tym języku, a kiedy tylko nadarzała się okazja pomówić z kimś po karaimsku, ochoczo nawiązywał rozmowę. Oni tak siebie znajdowali, ci nosiciele języka karaimskiego.

**HP:** Czy rodzina ze strony taty też miała swój wkład w twoją muzyczną edukację?

**WF:** Na pewno, bo podczas spotkań z trocką częścią rodziny u siostry taty, cici Ani Szpakowskiej w Wilnie, po poczęstunku zaczynały się pieśni w wykonaniu jej męża, Romualda Szpakowskiego, czyli Dziadzi Romy. To były głównie polskie pieśni patriotyczne, ale także biesiadne, czasem frywolne, i one towarzyszyły mi przez całe dzieciństwo. Kiedy po ślubie zamieszkałam w Warszawie, okazało, że klasyczny repertuar polskich piosenek, przeważnie z okresu międzywojennego, wcale nie jest mi obcy. Naturalnie wujek swoim dźwięcznym, silnym głosem śpiewał też pieśni rosyjskie i inne, ale polskie wydawały się dominować.

**HP:** Pomówmy jeszcze o bezcennym wpływie Waszej mamy na życie społeczne na Litwie i w konsekwencji w Polsce. Jak to się stało, że Twoja mama przeniosła tradycje krymsko-karaimskiej kultury muzycznej do Trok?

**WF:** Bardzo prosto – wychodząc za tatę i przeprowadzając się na Litwę. Dla mamy piosenka to jest życie. Śpiewała i podczas sprzątania, i gotując. Jeśli ona przyjechała, to piosenka musiała przyjechać wraz z nią. Pierwszy raz mama z karaimskimi piosenkami wystąpiła w roku 1970 na etnograficznej imprezie „Obyczaje i tradycje”. Wydarzenie miało miejsce w trockiej restauracji Galvé, gdzie różne zespoły kobiece przedstawiały swój dorobek, jakieś rękodzieła, tradycyjne potrawy, pięknie nakryte stoły. Częścią karaimskiej prezentacji był koncert, podczas którego ciocia Lida Maszkiewicz śpiewała trockie piosenki, a mama – krymskie. Mnie ze sobą rodzice na niego nie zabrali – może byłam chora, bo to było w lutym, może mama chciała się skupić na występie, ale ostatnio w rozmowie ze mną Mila Ławrynowicz przywołała obraz, jak mama, z grubymi, długimi warkoczami, w karaimskim narodowym stroju, chyba wypożyczonym z muzeum, schodziła ze schodów, śpiewając.

To, że doszło do tego występu oraz do stworzenia nagrań z głosem mamy, było zasługą mecenasa Michała Tynfowicza, człowieka bardzo światłego, a do tego entuzjasty techniki, który rozumiał, że to wszystko należy eksponować i dokumentować.

**HP:** Pamiętam, jak odwiedziłyśmy go z moją mamą w jego trockim domu i zaprosił nas na



Fot. archiwum W. Firkowicz

Rodzice Wiolety,  
Ludmiła z Mangubich  
i Szymon  
Juchniewiczowie.

rejs swoją motorówką po jeziorach. Z równą biegłością opiekował się i nawigował tą skomplikowaną technicznie łodzią, jak odpowiadał na nasze pytania dotyczące historii. Wiem, że wydawał czasopismo „Onarmach”, pisał po karaimsku wiersze i komponował muzykę – zresztą w „Karaimskiej mapie muzycznej” figuruje jako autor słów i melodii do piosenki „Kiusiańcz” (Teśknota).

**WF:** Te wszechstronne zdolności i umiłowanie naszej tradycji zaowocowały też wspaniałym archiwum, przechowywanym obecnie przez Inę Ławrynowicz. Michał Tynfowicz archiwizował między innymi wszystkie wzmianki o Karaimach, jakie ukazywały się w prasie, ale interesował się też brzmieniem karaimskiej mowy i muzyki. Potrafił to nagrać na magnetofonie, co wtedy było rzadką umiejętnością, w ten sposób zarejestrował śpiew mamy i mojej krymskiej babci, kiedy przyjechała w odwiedziny. I właśnie z tych nagrań teraz korzystamy. Dysponujemy też późniejszymi nagraniami Anny Bałdży. Te z kolei powstały z inicjatywy mojej mamy, a zarejestrował je kolejny pasjonat techniki, czyli twój, Haniu, szwagier, Aleksander Pilecki, na swoim wielkim magnetofonie, który przydzwigał do naszego mieszkania, kiedy Anna spędzała u nas zimę.



Te piosenki mama później śpiewała na spotkaniach rodzinnych i towarzyskich, które ich „kompania” przez dłuższy czas organizowała – według grafiku, wyobrażasz sobie?! Co miesiąc inna rodzina zapraszała do siebie na poczęstunek i zabawę. Pamiętam, że kiedy nadchodziła nasza kolej, tata jeździł na Białoruś po indyki. W każdym razie zbierało się koło dwudziestu osób, zabierali też ze sobą dzieci. Tańczyć się nie dało, przecież mieszkania były małe i zastawione uginającymi się od jadła stołami, bo każda gospodyni szykowała wymyślne smakołyki, ale śpiewanie, także choralne, było elementem porządku dziennego. I zawsze proszono mamę, żeby coś zaśpiewała solo.

**HP:** A potem to już poszło lawinowo. Powstał „Sanduhacz”. W jakim stopniu mama uczestniczyła w jego narodzinach?

**WF:** Pierwszy impuls na pewno wyszedł od mamy. Miała kasetę audio, którą będąc na Krymie, dostała od zespołu „Fidan”. Ich tańce zachwyciły mamę, poznała też Tatianę Sadowską, kierującą zespołem. Pani Sadowska podarowała jej nagranie muzyki i mama z tą kasetą wróciła do Trok. Tu spotkała się z Leną Szpakowską i powiedziała: „Ty tutaj działasz, jesteś młoda, masz małe dzieci, zastanów się, może warto coś z tego zrobić”. Jednocześnie mama nawiązała kontakt z choreografką i ta powiedziała, że sama muzyka to za mało, że trzeba znać ruchy. Wtedy mama, która z dzieciństwa spędzonego na Krymie, z jakiegoś wesela czy jakiejś zabawy zapamiętała kilka wykonywanych spontanicznie tanecznych ruchów, zarówno kobiecych, jak męskich, pokazała je pani choreograf. Ale to wciąż było trochę za mało. Mama próbowała i mnie namawiać na jakieś działania, ale sama wiesz, jak to jest z trójką dzieci, ledwo wiedziałam, na jakim świecie żyję, uznałam więc, że stworzenie zespołu jest niemożliwe.

**HP:** Na szczęście młode matki szybko się uczą elastyczności. Kiedy zmieniłaś zdanie?

**WF:** Przyczynił się do tego mieszkaniec Eupatorii, Tolik Hadży, znana postać, już niestety nie żyje. Niektóre jego zachowania były dość niestandardowe, ale podobało się nam, jak reagował na muzykę – gdy tylko usłyszał jakąś melodię, ruszał w tany. Odwiedzaliśmy go czasem w Eupatorii, więc kiedy nadarzyła mu się okazja zwiedzenia Warszawy, postanowił znieśc nam wizytę, a w prezencie przywiózł kasetę wideo z występem zespołu „Fidan”. I ja z tą kasetą przyjeżdżam do Trok, wiedząc, że mama rozpoczęła już te swoje starania, idę do Leny i mówię: „Dotychczas mie-

liśmy tylko parę ruchów, a tu jest cały koncert nagrany, możemy z tego ściągać!”. Lena zaniósła kopię kasety do pani choreograf i od tego się zaczęło. Podczas wakacji w Trokach tworzyliśmy już program pierwszego występu. Wszyscy razem. Trójka moich dzieci, Leny dwójka i dwójka Robaczewskich (też z Warszawy) oraz Beatka Rojecka. Pierwszy występ na Zatroczu, choć w strojach nieudolnie skleconych, wzbudził zachwyt. Bo nagle z niczego powstało coś, grała muzyka, dzieci tańczyły.

**HP:** Improvizowane kostiumy też mają swój urok...

**WF:** Tworzone domowymi sposobami, ale stylizowane, jakieś czapeczki, długie suknie, chłopcy też coś mieli, jakieś pasy... Bo te dzieci miały trochę strojów jeszcze zanim zaczęły tańczyć. Ciocia Zosia Abkowicz wraz z Mariolą szły dla moich dzieci karaimskie kostiumy chyba dwa razy, na różne imprezy. A potem z Trok pojechaliśmy na pierwsze zagraniczne występy – do Polski! Najpierw, jesienią 2003 roku zespół zatańczył przed uczestnikami karaimskiego zjazdu „Karaj Kiuñlari” w Warszawie, a rok później na Mazurach, w Mrągowie wystąpił przed publicznością już zróżnicowaną i to był chrzest bojowy naszego „Sanduhacza” (czyli „Słowika”). Kibicowało nam sporo karaimskich widzów, między innymi Mariola. Przyjechali też z Warszawy państwo Kobeccy, Olek i Dana, z dwójką swoich dzieci. Popatrzyli i później, kiedy stało się jasne, że utrzymanie wspólnego zespołu z obu stron granicy jest nierealne, powiedzieli, że oni chętnie widzieliby w tym też swoje dzieci. Po jakimś czasie do Emilki, Ninki i Szymona Firkowiczów, Edytki i Daniela Robaczewskich oraz Marty i Michała Kobeckich dołączyła jeszcze Basia Posel. Zatrudniliśmy choreografa, chociaż nie od razu trafiliśmy na tę właściwą osobę – panią Małgorzatę Borowiec, która potem pracowała z nami przez ponad dziesięć lat. I wtedy w ósmioosobowym warszawskim składzie pojechaliśmy, jeszcze jako polska część transgranicznego zespołu „Sanduhacz”, na festiwal „Galicja” do Przemyśla, by tam spotkać się z troczanami i razem zatańczyć. Później były kolejne występy, stopniowo szło nam coraz lepiej, obstalowaliśmy specjalne buty, zaczęliśmy też myśleć o porządniejszych strojach. I jakoś tak w międzyczasie, żeby nie było poplątania, że tu „Sanduhacz” i tam „Sanduhacz”, postanowiliśmy przyjąć własną nazwę. W zorganizowanym plebiscycie z różnych propozycji najwięcej głosów otrzymali „Dostłar”, czyli „Przyjaciele”.

Mila, Nina i Szymek Firkowicze wkraczają na scenę. Anin, 2005 r.



Fot. archiwum W. Firkowicz

**HP:** Mam jeszcze jedno pytanie dotyczące twojej mamy. Czy pracując w szkole, miała okazję wprowadzać wątek muzyczny do nauczania języka rosyjskiego? Czy nie narzucano jej ograniczeń w tym zakresie?

**WF:** Piosenki zawsze były obecne na jej lekcjach. Absolutnie nikt jej tego nie zabraniał, wprost przeciwnie, było to wręcz mile widziane. Mama zaczęła swoją karierę zawodową w szkole w Landwarowie jako opiekun pionierów, bo wtedy akurat nie było tam godzin dla rusycysty. Organizując różne imprezy czy po prostu rozpoczynając zbiórke, dała się poznać jako osoba muzykalna i znająca się na muzyce. Po niespełna roku zwolnił się etat i już nie zajmowała się pionierami, tylko uczyła języka najpierw w tej szkole rosyjskiej, a następnie w litewskiej w Landwarowie. I zawsze w nauczaniu wykorzystywała piosenki. Uczniowie śpiewali je chórem. Jakiś czas temu byłam z mamą na letnim koncercie na Zatoczku i kiedy wracałyśmy pięknymi parkowymi alejkami, podeszły do nas dwie panie, na mój gust raczej starszawe. Okazało się, że to jej dawne uczennice z landwarowskiej szkoły litewskiej. Powspominały swoje wesołe lekcje i we trzy z mamą zaczęły śpiewać tamte piosenki! Dla mamy to było niezwykle przyjemne, bo te panie wszystko doskonale pamiętały. Przechodnie uśmiechali się z niedowierzaniem, ale i z sympatią – przecież to byli melomani, którzy wracali właśnie z koncertu.

**HP:** Każde lato w Trokach jest latem cudów... Ale ty spędzałaś letnie miesiące w Eupatorii. A w którym momencie zaczęłaś jednak bywać w swoich rodzinnych Trokach latem? Czy miało to związek z Markiem?

**WF:** To było to lato, kiedy po ukończeniu dziesiątej klasy zdawałam egzaminy na filologię rosyjską w Wilnie. Pierwsze lato, kiedy na cały miesiąc zostałam w Trokach. Wtedy Marek się pojawił na moim horyzoncie, przeszkadzał mi zdawać egzaminy, ale jakoś sobie poradziłam. A może nie przeszkadzał, może nawet pomógł, bo jednak dostałam się na studia. I potem, gdy między nami nawiązała się jakaś przyjaźń, część wakacji zaczęłam spędzać w Trokach, a do Eupatorii wyjeżdżałam na krócej. Ale nie trwało to długo, bo pobraliśmy się, kiedy byłam na trzecim roku.

**HP:** Myśle, że czas spytać o rolę Marka w tworzeniu „Dostłar”. Jest ojcem części zespołu, aktorem zdolnym stanąć na scenie obok młodzieży, kronikarzem spisującym ważne wydarzenia, na przykład na łamach „Awazymyza”, osobą pozytywnie promującą wasze działania.

Podobnie jak mój mąż Adam i wielu innych naszych rodaków, łączy precyzyjne myślenie reprezentanta nauk ścisłych z wrażliwością odbiorcy dzieł sztuki i kulturą słowa. Mam wrażenie, że ta fuzja jest charakterystyczna dla tych Karaimów, którzy podążyli za królową nauk. I całe szczęście, Wioletto, że mamy takich mężów, skoro my obie jesteśmy skrajnymi przypadkami filologów.

**WF:** Masz całkowitą rację. Wydaje mi się, że oni zdobyli porządne wykształcenie średnie, po czym kontynuowali rozwój w pasjonujących ich kierunkach ścisłych. I potrafią zarówno pisać, jak i liczyć. I to zawsze w Marku podziwiam, bo ja, niestety, liczyć nie umiem.

**HP:** Ale umiesz liczyć nuty i kroki! I to się dla nas liczy!

**WF:** Może i tak, lecz w sprawach „Dostłar”, to nic bym bez Marka nie zrobiła. Dlatego, że ja oczywiście miewam różne pomysły, ale Marek te moje pomysły zamienia w działanie. Bez niego nie dałabym rady komunikować się bez przerwy przez internet, pisać po polsku całej tej niezbędnej korespondencji. Zorganizowanie jakiegoś występu nawet na terenie Warszawy, nie mówiąc już o wyjazdach zespołu, wymaga multum komunikatów, które idą wte i wewte. Nasze dzieciaki zauważały, że kiedy planowaliśmy jakieś większe wydarzenie, to wieczorów absolutnie nie mieliśmy dla siebie. Czas upływał nam na obmyślaniu treści listów, czytaniu korespondencji, pisaniu kronik, ulotek itp. I to wszystko robił Marek. Oczywiście, konsultując ze mną to, co już napisał, i ja wtedy lubiłam skrytykować, mówiłam, że za długie zdania, że tekst jest zbyt obszerny, albo że zbyt delikatnie, trzeba ostrzej, a czasami na odwrót, zbyt ostro, spróbuj delikatniej – tego typu uwagi. Marek wtedy prosił: „To mi powiedz, jak”, ale ja tego nie potrafiłam wyrazić, wskazywałam mu tylko kierunek. I on, biedny, siedział i to poprawiał. Trzeba też wspomnieć o fizycznym aspekcie organizacji wyjazdów: prowadzeniu samochodu, taszczeniu tych wszystkich strojów, pomocy przy zakwaterowaniu. Całą tę logistykę Marek i Olek Kobecki brali na siebie. Czasami zdarzało się, że przyjeżdżaliśmy na miejsce i wszystko szło gładko, ale częściej trzeba było o coś zawalczyć, i nasi panowie doskonale sobie z tym radzili.

**HP:** Jak was postrzegano na tych imprezach wyjazdowych?

**WF:** W 99% wypadków gospodarze byli otwarci, gościnni, dawali nam odczuć, że jesteśmy mile widziani na ich ziemi, na ich festiwalu. Bardzo nas to cieszyło, bo nie mieliśmy



Fot. archiwum W. Firkowicz

Mąż, Marek Firkowicz wspomaga Wioletę zarówno w sprawach organizacyjnych, jak i artystycznych.



„Dostlar” to nie tylko tancerze, ale także ich rodzice. Wioleta i Marek Firkowicze oraz Dana i Olek Kobeccy są z zespołem od jego początku. Dołączyli do nich Beata Gołaszewska, mama Aleksandra Junevičiusa, oraz Andrzej Morawiec, tata najmłodszych członków, Andrzejka i Alefa. Warszawa 2018 r.



Fot. archiwum FKD

absolutnej pewności, że mamy coś godnego pokazania na poważnym, często międzynarodowym wydarzeniu, bo i na takie trafialiśmy. Przecież występowały tam niemal profesjonalne zespoły, w których wszyscy są jednego wzrostu, jednakowo ubrani i wszystkie nóżki chodzą w tym samym rytmie. A jednak podobałyśmy się, mimo naszych niedoskonałości, mimo tego, że jedno jest wyższe, drugie niższe, jedno grubsze, drugie chudsze, a liczba dziewczynek i chłopców nie jest równa, co stanowiło pewną trudność dla choreografa. Dlatego wymyśliłyśmy takie kostiumy, różnobarwne, bo uznałam, że nie mogą być w jednym kolorze, skoro nasze dzieci są tak różne. I okazało się, że właśnie w tym tkwi nasz smaczek. Że dzięki temu ludzie patrzą na nas z życzliwością, dziwią się, czasem nawet zachwycają, a w każdym razie interesują. Zespoły „pod linijkę” migną im na scenie, a na nas zwrócą uwagę, jako na trochę wyjątkowych, że tak nieskromnie powiem. A przyznać trzeba, że osiągnięcie dostatecznej sprawności tanecznej przy zaledwie jednej próbie tygodniowo wymagało od młodzieży dużo wysiłku i samozaparcia.

Większość gospodarzy aż promieniowała ciepłem. Niektórzy mieli naprawdę skromne zasoby finansowe, ale każdy się starał przyjeźdźnych godnie przyjąć, żywić, zakwaterować, jakiś wieczór dla nich zorganizować, i nawet jeśli było bardzo skromne, to gościnność bijąca od ludzi wszystko rekompensowała. Bardzo rzadko, dosłownie dwa razy zdarzyło się, że nie spodobało się nam na wyjeździe. Nigdy nie

oczekiwaliśmy, że będą nas nosić na rękach, ale takie przyjęcie było po prostu niesmaczne. Więcej tam nie pojechaliśmy.

**HP:** Życie festiwalowe to także próby znalezienia wspólnego języka i wzajemne inspiracje. Na ile bogatsi wyjeżdżaliście z takich spotkań?  
**WF:** Zawsze byliśmy bardzo zainteresowani twórczością pozostałych zaproszonych zespołów. Razem z dziećmi, później już z młodzieżą, podpatrywaliśmy innych, nie szliśmy do szatni czy na miasto, tylko oglądaliśmy występ za występem, patrzyliśmy, co inni mają do zaoferowania. Starałam się namawiać do tego dzieciaki, bo w taki sposób najciekawiej się uczyć. Nie po to, by przejąć czyjś styl, ale by dostrzec pewne niuanse, zastanowić się nad własnym warszatem. Bo to najczęściej były festiwale związane z małymi narodowościami. A dodatkowo Olek Kobecki za każdym razem organizował nam bardzo interesujące zwiedzanie, po drodze tam i z powrotem i oczywiście na miejscu, w okolicach naszego zakwaterowania.

**HP:** Do których wyjazdów najchętniej wracacie we wspomnieniach?

**WF:** Mamy to szczęście, że każdy występ „Dostlar” wspominamy ciepło. I te w Warszawie oraz w innych rejonach Polski, i te na Litwie, zwłaszcza w Trokach, przed wymagającą publicznością złożoną z bliskich i przyjaciół. Szczególnie emocjonujące były nasze trzy dalekie wyjazdy: na Krym w 2007, do Stambułu w 2008 i do Tatarstanu w 2009 roku.

Pierwszy, na zaproszenie organizatorów konferencji „Караимы собирают друзей” (Karaimi

zbierają przyjaciół) wywołał szczególne wzruszenia związane z pobytem na ziemi przodków. To było jak powrót do korzeni. Dwa występy, wizyta na Dżuft Kale z niepowtarzalną sesją zdjęciową na tle twierdzy i jej bezkresnego otoczenia, spotkanie ze społecznością karaimeką w restauracji przy eupatoryjskiej kienesie i czarodziejski nastrój Orientu, którego nie odda żadna knajpka z kebabem. Tam też usłyszeliśmy o występie miejscowego zespołu tańca karaimeckiego „Fidan” w Stambule.

**HP:** I zaledwie rok później sami wystąpiliście nad Bosforem?

**WF:** Wzięliśmy udział w 14. Türk Dünyası Çocuk Şöleni (Festiwal Dziecięcy Świata Turckiego) jako przedstawiciele najbardziej na zachód zamieszkałej mniejszości turkijskiej. Eskapada była wyjątkowa m.in. dlatego, że dzieci mieszkają w rodzinach tureckich, co było niecodziennym i bardzo rozwijającym doświadczeniem, a z nami spotkały się dopiero podczas występu finałowego przed trzydziestotysięczną (!) rozemocjonowaną publicznością, dla której nasi chłopcy wykonali efektowne salta na środku stadionu Beşiktaş JK. Warto odnotować, że kadra kierownicza zespołów miała swoje równoległe spotkania. Na jednym z nich, zgodnie ze wschodnim obyczajem, składano listy uwierzytelniające i życzenia pomyślności gospodarzom. W końcu przyszła nasza kolej, ale ledwo rozpoczęliśmy zawczasu przygotowaną kwiecistą mowę po angielsku, kiedy profesor Turan Yazgan, szefujący patronowi festiwalu, Türk Dünyası Araştırmaları Vakfı (Fundacji Badań nad Światem Turckim) przerwał nam i poprosił o wypowiedź „po turecku”, czyli po karaimecku. Sytuację uratował Romek Robaczewski, ojciec dwojga członków zespołu, który przejął rolę oratora, pięknie wygłaszając improwizowane przemówienie w ojczystym języku. Profesor był zachwycony.

**HP:** A jak trafiłiście do Tatarstanu?

**WF:** Nawiązane w Stambule znajomości zaowocowały po roku wyjazdem do Tatarstanu na zaproszenie tamtejszego festiwalu „Raduga Sabantuja”. Miasto Nabieieżnyje Czełny, gdzie odbywało się to perfekcyjnie przygotowane spotkanie leży tylko o przysłowiowy rzut beretem od Uralu, a turkijskie zespoły z Jakucji, Altaju, Kazachstanu czy Baszkirii miały tam nieporównanie bliżej niż do Warszawy, Paryża, czy nawet Stambułu. Zakwaterowanie większości uczestników w podmiejskim obozie pionierskim pozwoliło nam nawiązać nowe przyjaźnie, a improwizowany konkurs wieczornych popisów tanecznych pomiędzy chłopcami

z kaukaskiej Bałkarii i naszymi młodzieńcami pozostawił po sobie niezapomniane wrażenia. Pamiętam też, jak podekscytowani byli nasi chłopcy po rozmowie z prezentującymi niemal profesjonalny poziom tancerzami z Kaukazu, którzy chwaląc warszawiaków, dziwili się, że ci stworzyli program ćwicząc tylko raz w tygodniu, podczas gdy oni sami spotykali się na próbach cztery lub pięć razy tygodniowo.

W drodze powrotnej na krótko zatrzymaliśmy się w Moskwie, gdzie przewodniczący tamtejszej organizacji karaimeckiej, pan Oleg Pietrow-Dubiński zorganizował nam występ w monumentalnym Domu Mniejszości. Na koncert przyszli nie tylko liczni moskiewscy Karaimi w różnym wieku, lecz także kiluosobowa grupa przedstawicieli miejscowej Polonii – bardzo nam przyjaznych i życzliwych starszych ludzi, wielce zadowolonych z możliwości kulturalnej rozmowy po polsku z przybyszami z ojczystego kraju, w którym nigdy nie byli.

**HP:** W Wikipedii do twojego nazwiska przypisano funkcję «kierownik organizacyjny „Dostłar”». Doceniam, rzecz jasna, znaczenie i ogrom pracy związanej z zarządzaniem, ale z mojej wiedzy i wspomnień jasno wynika, że jesteś też, a raczej przede wszystkim, kierownikiem artystycznym zespołu. Chciałabym więc zapytać o formy teatralne, które inspirowałaś.

**WF:** Formy teatralne w „Dostłar” wzięły się na samym początku z tego – tu muszę się do czegoś przyznać – że trzeba było jechać na jakiś festiwal, a tańców nie mieliśmy w repertuarze zbyt dużo. Wiedzieliśmy, że te układy jeszcze nie są doskonałe, może nawet trochę słabe choreograficznie, bo dzieci – wtedy to były jeszcze dzieci – nie mają w pełni rozwiniętego warsztatu. I stąd pomysł, by ubarwić nasz występ, wymyślić i odegrać jakąś fabułę, a w spektakl wplatać tańce. Tak powstało nasze pierwsze przedstawienie pt. „Stupiecz”, którego tematem było święto obchodzone niegdyś w Teodozji na Krymie. Była to legenda o tym, jak powstała potrawa zwana *stupiecz*. Występował w niej zły aga i Karaimi. Wydało mi się, że to może bardzo dobrze wyglądać na scenie. Wykorzystaliśmy kilka tańców, pomagała nam pani Zofia Wróblewska, reżyser dziecięcych teatryków, bo to ona na kanwie legendy stworzyła scenariusz dostosowany do naszych możliwości. I rzeczywiście, przedstawienie spotkało się z bardzo dobrym odbiorem, na pewno lepszym, niż gdybyśmy pokazali same tańce.

**HP:** „Stupiecz” widziałam w Gdańsku, świetny spektakl. Tam był tekst mówiony po polsku, o ile pamiętam.

Scena z przedstawienia „Aga Dumpa, czyli Stupiecz” – inscenizacji karaimeckiej legendy z Krymu w wykonaniu członków zespołu „Dostłar”. Sejny, 2006 r.



Fot. archiwum W. Firkowicz.



Do zespołu dołączają coraz młodszy uczestnicy – Andrzejek Morawiec ze swoim rumakiem. Warszawa, 2019 r.



Fot. Adam J. Dubiński

**WF:** Tak, to było rozpisane na role. Brakowało nam aktorów, więc Danka i Marek, prywatnie rodzice tancerzy, zgodzili się zagrać w spektaklu. A co ciekawe, później w Trokach odbywał się festiwal, bodajże „Čia müsu namai” (Oto nasz dom), i te teksty powinny były zabrzmieć w języku narodowym, języku mniejszości, którą reprezentowaliśmy. I oczywiście mój tata przetłumaczył cały „Stupiecz” na karaimski. Młodzież w bardzo krótkim czasie nauczyła się tych tekstów i tak wystawiliśmy przedstawienie w języku karaimskim. Marka i Danke podziwiam szczególnie za sprawne opanowanie obszernych kwestii po karaimsku, znacznie dłuższych niż te wygłaszane przez dzieci. Tym przygotowaniom też towarzyszyło ogromne uniesienie, bo festiwal był naprawdę duży, wiele narodów mieszkających na Litwie przedstawiało swoją kulturę na rozmaite sposoby, ale spektakl, z rekwizytami, dialogami, tańcami, muzyką był tylko ten jeden, nasz. I bardzo dobrze został przyjęty.

**HP:** Tej wersji nie widziałam, ale z całą rodziną oglądaliśmy wasze „Zaślubiny”, kolejne oszałamiające widowisko na scenie Domu Kultury w Trokach.

**WF:** „Zaślubiny” obyły się zupełnie bez słów, za sprawą naszej pani choreograf, która potrafiła znaleźć wymowne symbole. Bardzo długo opowiadaliśmy jej o naszym pięknym zwyczaju wyprawiania *kielezmiak* (zareczyn), oglądaliśmy nagrania wideo ze ślubu Iny i Żorża Ławrynowiczów, ona to dokładnie badała, uczyła się tego, by później przenieść to wszystko na gesty. I wyszło to, co wyszło.

**HP:** Wyszło przepięknie, wszystkie elementy były perfekcyjne, także bogata scenografia. Ta ostatnia autorstwa braci Babadżanów, dobrze pamiętam?

**WF:** Tak, wtedy wszyscy się angażowali, bo my przyjechaliśmy z Warszawy do Trok z takim trochę surowcem, a później Misza Szpakowski, mąż Ingridy, która upiekła na potrzeby przedstawienia bułkę weselną, powiedział, że przecież nie może ciasto leżeć na podłodze, po czym zrobił z drewna specjalny podest, na którym je położyliśmy. Taki jest Misza, umie wszystko zrobić. Bracia Babadżan namalowali scenografię z trockim zamkiem w tle. Każdy starał się coś dodać od siebie, podrzucić jakiś pomysł.

**HP:** A spektakl „Wspominając święto Orach Toju”? W archiwach widnieje adnotacja, że Twoja inspiracja była decydująca.

**WF:** Wpadliśmy na ten pomysł, szukając możliwych fabuł. Jeśli coś pokazywać, to musi to

być barwne, musi być jakiś ruch, jakieś działanie, a wspomnienie o święcie urodzaju i zawieszaniu wieńca dożynkowego spełniało te kryteria. Ina Ławrynowicz i Mila Ławrynowicz wszystko to realizowały na swoim terenie, a my tylko dołączyliśmy we fragmencie tanecznym. Tancerze z „Dostlar”, Nina i Michał, specjalnie przygotowali nowy układ, a było to tango, modne wśród młodzieży w czasach, które wspominaliśmy. Inne tańce wykonali troczanie, chociaż mój Marek też w tym wziął udział, bo do układu choreograficznego brakowało jednego „kawalera”.

**HP:** Potem już chyba do form teatralnych nie wracaliście?

**WF:** Nie, bo dzieci podrosły, zrobiły się młodzieżą i już nie mieliśmy tyle czasu, bo jednak próby do spektakli zabierały nam cały jeden dzień w tygodniu, sobotę lub niedzielę. Młodzi dysponowali coraz lepszym warsztatem, nauczyli się różnych rzeczy, które choreografka, pani Małgosia, z nimi wyćwiczyła. Z czasem kilka osób odeszło z zespołu, mieli oczywiście do tego prawo. Ostatnie takie wielkie nasze tańczenie odbyło się z okazji jubileuszu dziesięciolecia zespołu. Wtedy jeszcze prawie wszyscy weterani, którzy już przestali występować, zebrali się, przypomnieli sobie to i owo i zatańczyli pięknie w pełnym składzie. I koncert był bardzo udany. A później do zespołu dołączyli młodzi chłopcy Beatki Gołaszewskiej, Andrzej i Aleksander Junevičius, oraz synkowie państwa Morawców, Andrzej i Alef.

Niestety, pandemia wiele zmieniła. Na razie ostatni większy występ miał miejsce w roku 2019 podczas wspólnego wyjazdu starszego z braci Junevičiusów oraz moich córek na Krym. Zostali tam niezwykle gorąco przyjęci. Nawet Tatarzy, miejscowi działacze kulturalni, dziwili się, że my, z tak zupełnie nieorientalnego kraju, potrafiliśmy zachować wschodniego ducha, nastrój, to coś, co powinno być obecne w tych tańcach. Pochwała ta była dla mnie bardzo przyjemna, bo przecież to wszystko jest stylizowane. Muzyka jest elektroniczna, a „Dostlar”, podobnie jak oba trockie zespoły, „Sanduhacz” i „Birlik”, wykorzystuje przede wszystkim muzykę otrzymaną od pani Sadowskiej, choreografki krymskiego zespołu „Fidan”. Zawsze się obawiałam, że tak bardzo to wystylizujemy, że trudno będzie rozpoznać w tym taniec krymsko-karaimski. Dlatego tak ucieszył mnie entuzjastyczny odbiór widowni i opinia, którą wyrazili obecni na sali działacze kultury tatarskiej. Świadczyło to, że nie poszliśmy w niewłaściwą stro-

nę. Ten dość obszerny występ trojga naszych tancerzy był podsumowaniem pewnego etapu. Później, w czasie pandemii dostosowaliśmy się do obostrzeń i występowaliśmy głównie online, ale kilkakrotnie, zarówno w Trokach, jak też w Warszawie, podczas prezentacji mapy obecności Karaimów w tym mieście przed 1914 r., połączonej z obchodami 95. urodzin profesora Szymona Pileckiego we wrześniu roku 2020, młodzież wykonała program taneczny przed żywą publicznością (oczywiście z zachowaniem reżimu sanitarnego).

**HP:** Opowieść o Twoim życiu prowadzi czytelnika po bardzo ważnych dla Karaimów ośrodkach. Urodzona w Trokach, absolwentka filologii rosyjskiej w Wilnie, która wychowała karaimskich tancerzy w Warszawie, w dzieciństwie całe miesiące spędzała w Eupatorii... Jak upływał ci czas na Krymie?

**WF:** U dziadków w Eupatorii spędzaliśmy z moim bratem, Arturem, jedną czwartą roku, całe letnie wakacje. Na trzy miesiące zmienialiśmy miejsce zamieszkania. Tam też byliśmy u siebie. Wypoczynek organizował nam dziadek. Pod jego opieką kąpaliśmy się w morzu, a od czasu do czasu wieczorami prowadził nas w nasze ulubione miejsce, czyli do lunaparku. Przed wejściem umawiał się z nami, ile razy na czymś tam będziemy jeździć, i upominał, żeby nie przekroczyć limitu tak zwanych „atrakcyjności”, lecz my zawsze go przekraczaliśmy. Babcia szykowała nam krymskie przysmaki, że palce lizać, i opowiadała fascynujące historie o dawnych czasach. Dziadkowie nie mieli telefonu, ale do ich domu można było przyjść bez zapowiedzi. Ciocia Raja, siostra Babci, po porannych zakupach na bazarze, wpadała w odwiedziny, komentowała jakieś nowinki, a my z kolei spacerując wieczorami nad morzem, zaglądaliśmy, a to do brata babci, Dziadzi Sieni, a to właśnie do Cioci Rai i Dziadzi Josi, by posiedzieć u nich w altance. Dziadzia Josia był znakomitym gawędziarzem, opowiadał różne ciekawe anegdotki z życia Karaimów. Śmialiśmy się całymi wieczorami.

**HP:** Pamiętasz może jakąś historyjkę?

**WF:** Posłuchaj tylko: w dawnych czasach przed karaimskim weselem rozsyłano po domach ludzi, którzy w imieniu rodzin narzeczonych zapraszali gości na konkretny dzień, na konkretną godzinę. Pewnego razu wysłano z taką misją pana, który nie był specjalnie rozgarnięty. Coś tam z jego mózgiem było nie tak, ale proste zadanie mógł wykonać. Sprawnie przekazał zaproszenie, jednak gospodarze kręcili nosem: „A to już nikogo lepszego, mądrzej-



Fot. archiwum W. Firkowicz

szego nie znaleźli, żeby nas na wesele prosił?”. Na co on odpowiedział: „Mądrych do mądrych posłali, a mnie do was.”

**HP:** Fantastyczne! Wujek po rosyjsku wam to opowiadał?

**WF:** Oczywiście, wszyscy porozumiewaliśmy się po rosyjsku. Tylko że on wtrącał co rusz jakieś słówka po karaimsku. Co ciekawe, gdy trafiliśmy z zespołem „Dostłar” do Stambułu dwanaście lat temu, poszliśmy do muzeum, gdzie zobaczyłam pod eksponatami podpisy w dwóch językach – po turecku i po angielsku. Angielskiego nie znam, więc spróbowałam odczytać tekst turecki i ku mojemu zdziwieniu, sporo zrozumiałam. Ja nawet nie wiedziałam, że znam tyle słów, i myślę, że chyba te słowa słyszałam na Krymie, bo babcia z dziadkiem też ze sobą rozmawiali po rosyjsku, ale od czasu do czasu wplatali jakieś karaimskie słówka czy nawet całe zdania, pod pretekstem,

W dzieciństwie Wioleta i Artur Juchniewicz wakacje spędzali co roku nad Morzem Czarnym – w domu dziadków w Eupatorii.



Fot. archiwum W. Firkowicz

Trzy pokolenia kobiet z muzycznej rodziny: Aleksandra ze Szpakowskich Mangubi, Ludmiła z Mangubich Juchniewicz oraz Wioleta z Juchniewiczów Firkowicz.



żeby sąsiedzi nie rozumieli. Tak więc wakacje miło nam tam upływały. Po przyjeździe do Eupatorii pierwsze kroki kierowaliśmy z Arturem zazwyczaj do biblioteki, gdzie panie bibliotekarki witały nas przyjaznym „A, już przyjechaliście”, ale ciekawych książek nie mogły nam wypożyczyć do domu. Te, które chcieliśmy przeczytać, dostępne były jedynie w czytelnicy, i całe popołudnia, po porannych morskich kąpielach, przesiadywaliśmy tam nad powieściami przygodowymi. Jules Verne i Artur Conan Doyle towarzyszyli nam przez całe krymskie wakacje.

**HP:** Kiedy na początku lat siedemdziesiątych moja babcia z ciociami przeprowadziły się z Halcza do Trok, odkryłam tam świat uroczych doznań związanych z naszą naprawdę liczną „kompanią” roczników ‘59 i ‘61. Po krakowskiej harówce roku szkolnego jakże ożywcze wydawały mi się te wspólne leniwe, wesołe dni na łódkach i wyspach, ogniska, które inicjował Twój przyszły mąż, zabawy „na ganeczku” z jego siostrą, Anią, i w ogródkach trockich koleżanek. Czy wy z Arturem mieliście podobne doświadczenia na Krymie?

**WF:** Nie poznaliśmy tam rówieśników karaimskich. Zawieraliśmy sezonowe przyjaźnie z dziećmi letników i cieszyliśmy się, jeżeli za rok wracały znów w to samo miejsce. Jednak przede wszystkim obracaliśmy się w szeroko rozumianej rodzinie i właśnie te rodzinne spotkania muzyczne bardzo przyjemnie wspominam. Od czasu do czasu uczestniczyliśmy w zabawach muzycznych czy spotkaniach z innymi znajomymi Karaimami, tylko że to było pokolenie dziadków, niekiedy rodziców, a nie młodzież. Wnuczki cioci Rai, Tania i Ania, były z kolei młodsze od nas, ale też bardzo się lubiliśmy z nimi spotykać.

**HP:** Ale przecież mieszkali tam również młodzi Karaimi w waszym wieku?

**WF:** Oni gdzieś tam mieszkali, tylko że wtedy, w latach siedemdziesiątych, nie było żadnej organizacji, nie było żadnych działań. Na Krymie działalność społeczno-kulturalną podjęto dopiero po upadku Związku Radzieckiego, zaczęto tworzyć organizacje i wtedy dopiero okazało się, że tych chętnych do współpracy młodych ludzi, często z mieszanych małżeństw, jest naprawdę dużo.

**HP:** Kiedy byliśmy dziećmi, o wspólnych obchodach świąt religijnych na Krymie nie było co marzyć...

**WF:** W lecie nic się nie działo. Oczywiście babcia z dziadkiem uroczyście obchodzili Wielkanoc i inne święta, ale nas tam wtedy nie

było. To wszystko zaczęło się odnawiać dopiero w latach dziewięćdziesiątych XX w.

**HP:** Tym bardziej doceniam, jak bardzo prężne były Troki. W czasach naszej młodości natychmiast po przyjeździe człowiek był wciągany w życie towarzyskie, także to wielopokoleniowe, i religijne. W sobotę otwierały się bramy kienesy, choć oczywiście poza przybyszami z Polski do środka wchodziłi tylko emeryci i małe dzieci. Mama mi tłumaczyła, że miejscowym, którzy się uczą lub pracują, groziłyby bardzo poważne konsekwencje.

**WF:** Troki może społecznych więzi nie utraciły, bo jednak „kompanie” zawsze istniały, ale wizyta na nabożeństwie w kienesie rzeczywistości nie dla wszystkich była dostępna, z przyczyn, o których wspomnialiś. Z dzieciństwa pamiętam tylko jeden raz, kiedy babcia Nina tam mnie zabrała jako sześciolatka. Oni się wtedy spotykali i modlili po domach, nie całymi rodzinami, bo nikt by ich nie pomieścił, ale w męskim gronie. Pamiętam, że tata jeździł na Zamoście do Toli Ławrynowicza na większe święta. Nasz ślub z Mareczkiem też odbył się w domu Hazzana. Dopiero ślub Ingridy i Miszy w roku 1990 był pierwszym po wieloletniej przerwie celebrowanym w kienesie. Przez czterdzieści lat małżeństwa zawierano, tak jak i Twoje w Krakowie, w prywatnych domach, a potem oczywiście potwierdzano ślubem cywilnym w urzędzie.

Jeśli chodzi o Krym, to fakt, że dłużej im to dochodzenie do wspólnoty zajęło, ale później szybko to odrobili, zawiązali niejedną organizację. No i ta odrestaurowana kienesa w Eupatorii naprawdę robi niesamowite wrażenie. A na maj przyszłego roku zaplanowano ważne wydarzenie w Symferopolu: otwarcie i poświęcenie świeżo odremontowanej miejscowej kienesy, niedawno zwróconej Karaimom.

**HP:** Wróćmy teraz do Warszawy, bo tam jako młodziutka mężatka ze świeżym dyplomem wileńskiej uczelni rozpoczynając karierę zawodową, trwającą zresztą do dziś. Czym jest dla ciebie praca?

**WF:** Moja praca to moje hobby! Naprawdę lubię to, co robię. Praca lektora języka rosyjskiego zapewnia mi aktywny kontakt z rosyjskojęzyczną kulturą, co jest dla mnie bardzo ważne. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że obecnie rosyjski ma w Polsce status języka niszowego, ale może dzięki temu mam najczęściej bardzo mądrych uczniów, którzy już opanowali powszechnie wymagane umiejętności, dysponują szeroką wiedzą i pragną dowiedzieć się więcej.

Rok 1979: Dziewczyna z burzą czarnych loków, która zauroczyła pewnego warszawiaka...



Fot. archiwum W. Firkowicz



Wioleta i Marek Firkowiczowie z córkami, Niną i Emilią.

**HP:** Marzenie każdego nauczyciela... Ale chyba nad tym marzeniem musiałaś sporo popracować, aby się spełniło?

**WF:** Wśród swoich uczniów zawsze miałam takich, którzy musieli się uczyć, i takich, którzy chcieli się uczyć. Jeżeli ktoś w trakcie nauki przechodził z pierwszej kategorii do drugiej, uważałam to za swój wielki sukces.

Naturalnie, na początku, przed urodzeniem dzieci, to moje nauczanie było jeszcze niedojrzałe, mało świadome. Potem kilkanaście lat spędziłam z zupkami i innymi rymującymi się z nimi rzeczami. Kiedy na nowo podjęłam pracę, trafiłam na duże zaoczne grupy dla dorosłych. Trzęsłam się z przerażenia, kiedy po raz pierwszy wchodziłam na salę. Mówi się o aktorach, że trema, która paraliżuje ich za kulisami, mija natychmiast, gdy staną na scenie. I mnie też opuściła, gdy tylko wypowiedziałam pierwsze słowa powitania. Poczulałam się w swoim żywiole i zrozumiałam, że tego właśnie mi brakowało przez te długie lata, że nie chcę nic innego robić.

**HP:** Mimo że w międzyczasie wiele się w naszej części Europy zmieniło?

**WF:** Wróciłam na rynek pracy po okresie głębokich przemian i mogłam sobie znaleźć inny zawód. Ale po co? W tej chwili źródłem wielkiej satysfakcji jest dla mnie indywidualne nauczanie ludzi wszechstronnie wykształconych, prezesów i pracowników wielkich firm, które

zajmują się na przykład handlem gazem czy ropą. Oni oczywiście mogliby się na Białorusi, Ukrainie czy w Rosji porozumiewać po angielsku, ale rozumieją, że do kontrahentów najskuteczniej można przemówić w ich języku. Są młodszy od nas, więc nie mieli obowiązkowych lekcji rosyjskiego w szkołach, i uczą się od zera. Cieszę się, jeżeli uda mi się ich doprowadzić do momentu, kiedy przestają korzystać z usług tłumacza.

**HP:** Nie uczysz już studentów ani licealistów?

**WF:** Studentów już nie, licealistów owszem. Uczę w dwóch prywatnych szkołach średnich, bardzo to cenię, mam małe grupy, często nauczanie indywidualne. I choć trafiają się młodzi ludzie, których przez pół roku nie daję rady nauczyć nawet alfabetu, z reguły jest zupełnie inaczej. Zdarzyło się nawet, że ktoś specjalnie dla moich lekcji rosyjskiego wybrał to właśnie liceum!

Przygotowuję uczniów do matury rozszerzonej, a w tej chwili mam wyjątkowe zadanie. Jedna z uczennic dostała cztery godziny tygodniowo nauki indywidualnej, a że z maturą rozszerzoną już teraz poradziłaby sobie znakomicie, idziemy dalej w kierunku filologii rosyjskiej, zajmujemy się kulturą, literaturą, filmem, piosenką...

**HP:** I niech piosenka zamyka, tak jak zaczęła, naszą dzisiejszą rozmowę. Dziękuję Ci bardzo i do zobaczenia na następnym koncercie!